

TEATR NARODOWY przedstawił rzecz, której przygotowanie wymagało imponującej ilości pracy. Ież pracy! Ież wysiłków! Pierwszą stronę teatralnego programu gesto wypełniono nazwiskami osób, które ciężko tyrały nad tym przedstawieniem. Oprócz dwu osób najważniejszych, które zrobiły swoje przeszło sto lat temu i dzisiejszy rezultat oglądają z bardzo wyniosłej wysokości (Aleksander Fredro i Stanisław Moniuszko) — mamy na tej stronie wymienionego i autora opracowania muzycznego (Stanisław Dobrzański), i autora opracowania dramaturgicznego (Józef Wyszomirski) i reżysera (tenże), i autora scenografii (Andrzej Słopka), i kierownika muzycznego (Stefan Sutkowski), i autora układu tańców (Wanda Szczuka) i osobę która dbała o spektakl od strony wokalne (Romana Krebs), i osobę która pracowała nad dykcją (Krystyna Mazur). A obok czytamy listę po-

nad dwudziestu osób, które z imponującą sprawnością tańczą, śpiewają i mówią tekst „Nowego Don Kiszota, czyli Stu szaleństw” Aleksandra Fredry, krotkoczwili w trzech aktach ze

Andrzej Jarecki

Wiele zachodu...

śpiewami, z muzyką Stanisława Moniuszki.

Ładnych kilka miesięcy wiosna, pod koniec ubiegłego sezonu zajęło zespołowi Teatru Narodowego przygotowanie tej premii. A przedtem jeszcze pracował długo i znośnie reżyser, który mistrzynie inkrustował „Nowego Don Kiszota” ariami, duetami i tańcami Moniuszki napisanymi z innej okazji, a

stosującymi się do tego tekstu. Tak na starej kanwie Fredrowskiej komedii powstała nowa konstrukcja komediowo-operowa, godnie uzasadniająca współzycie Teatru Narodowego i Teatru Wielkiego w jednym budynku.

Powstało przedstawienie zachwycające akuracnością wyko-



możliwości! Rozpaczliwie ładne.

Najlepsza i najbardziej wnikliwa egaegza historyczno-literacka nie zmienia prostego faktu, że „Nowy Don Kiszot” to jedna z najsłabszych komedii znakomitego Fredry, jedną z najmniej dowcipnych, najmniej lekkich, choć właśnie dowcip to jej jedyna legitymacja, bo przecież innych wartości prawie nie posiada. Nic nie zmienia faktu, że jest to zwykła ramota, zbiór starych gagów z przyśpiewkami. Nie wiemy, czego właściwie teatr od nas chce? Śmiać się? Proszę

bardzo, ale wolalbym jakoś żywiej.

A w ogóle, cyzelowanie prymitywu wydaje mi się fałszywym zadaniem artystycznym. Problem jest znany z terenu sztuk pięknych. Chrystusik fraszobliwy nie wyrzeźbiony w drewnie, ale wytłoczony z plastyku traci wszelki sens. Traci sens także wtedy, gdy jest podrobiony zbyt długo kształconą ręką.

Tą wątpliwą drogą maszerują już u nas rozmaite spółdzielnie pracy artystycznej, rozmaite zespoły pieśni i tańca. Po co tam jeszcze teatry? To już sprawa z jednej strony umiaru w pracy, a z drugiej — żywiołu. Teatr Narodowy przeszedł tym razem własną miarę, do której nas przyuczyl „Historią o zmartwychwstaniu” i „Żywotem Józefa”. Tyle pracy! Może tym razem za dużo? A za mało żywiołu: ruchu, dynamiki, gazu.

Bardzo dobrzy aktorzy: Andrzej Żarnecki i Bogdan Baer.